

Prof. Maria Dzielska: Jesteśmy dziedzicami Akropolu, Kapitolu i Golgoty

Przypominamy dziś wywiad ze śp. prof. Marią Dzielską, historykiem i filologiem klasycznym oraz tłumaczką tekstów źródłowych, zmarłą 30 lipca 2018 r. w wieku 75 lat. Z prof. Dzielską rozmawiał Paweł Czapczyk.

Paweł Czapczyk: W publicznych debatach przekonuje Pani, że wciąż żyjemy w orbicie myśli śródziemnomorskiej. Nikt chyba nie zaprzecza historycznym słowo Ernesta Renana, że Grecja dała nam sztukę, Rzym – prawo, a Żydzi – religię. Ale również powszechne jest dziś mniemanie, że śródziemnomorski wzorzec przestał obowiązywać, że antyczno-chrześcijański paradygmat sztuki i wychowania się załamał, i że realnie utraconej tradycji – jakby powiedział Teodor Adorno – nie zastąpi surogat estetyczny.

Maria Dzielska: Taki pogląd pojawił się już w okresie nowego humanizmu niemieckiego, czyli w II połowie XVIII wieku, kiedy miłość do Grecji antycznej osiągnęła swoje szczyty w utworach Johanna Wolfganga Goethego, Friedricha Schillera, Friedricha Hölderlina czy u Johanna Gottfrieda Herdera w jego *Powszechnej historii kultury*. Ale to właśnie Schiller, autor wiersza *Bogowie Grecji*, w inauguracyjnym wykładzie na uniwersytecie w Jenie w 1789 roku wywodził, że starożytność nie może być traktowana jako wzorzec dla ludzi nowych czasów dążących do postępu.

Co było potem?

Silny atak na tradycję antyczną nastąpił w II połowie XIX i na początku XX wieku jako reakcja na tzw. drugą rewolucję przemysłową, która wprowadziła nas w wiek pary i elektryczności, stwarzając nieznane dotąd możliwości rozwoju nauk ścisłych i politechnicznych.

Pozytywiści w literaturze i sztuce, a potem futuryści głosili konieczność odcięcia się od dawnych wartości przenikających normy etyczne i kreacje artystyczne. Antyczne wzorce obowiązujące w nauce i edukacji uznano za przestarzałe i nieinnowacyjne, utrudniające swym zacofaniem rozwój i oświecenie ludzkości. Twierdzono, że celem historii jest postęp. Wydawało się, że wiek dwudziesty – wiek atomu i podbijania kosmosu, wiek nauk przyrodniczych odkrywających tajemnicę życia oraz wiek systemów gospodarczych pozwalających na zaspokajanie materialnych i utylitarnych potrzeb ludzi – te resentymenty pogłębi. Że dojdzie do ostatecznego zastąpienia religii przez ekonomię, a filozofii przez progresywistyczne ideologie.

Tymczasem stało się inaczej. Tradycja antyczna do nas woła. Przypomina, że wielkie odkrycia nauki i techniki oraz heterogeniczne porządki myślowe i nowoczesne wartości odrzucające antychno-chrześcijańskie paradygmaty nie prowadzą do szczęścia. Nie chronią przed strachem istnienia i upadkiem ducha. Nie radzą sobie z degradacją i zniszczeniem – wystarczy wspomnieć horror mordy i destrukcji stworzony przez nowatorską technologię i totalitarną ideologię w XX wieku w obrębie cywilizacji zachodniej.

Czego zatem współczesna ludzkość potrzebuje najbardziej?

Stabilnej racji moralnej dla podejmowanych działań i nabywanych doświadczeń, a tę ofiarowuje antyk klasyczny i chrześcijański. W czasach późnego cesarstwa wspólnota europejska stanęła na trzech nogach i nadal na nich trwa. Trawestując słowa Renana: jesteśmy dziedzicami Akropolu, Kapitolu i Golgoty.

Zygmunt Kubiak mawiał, że żyjemy w Europie, która jest w prostej linii przedłużeniem dziedzictwa Oktawiana Augusta. W *Dziejach Greków i Rzymian* pisał on swojsko o Augustie: „nasz pierwszy cesarz”. Odmiennego zdania był Bronisław Geremek, twierdząc, że współczesnej cywilizacji nie można zestawiać nawet ze średniowieczną Europą Karola Wielkiego. A jakie jest zdanie Pani Profesor?

Zygmunt Kubiak miał rację. Państwo powołane do istnienia przez Oktawiana Augusta – w sensie kulturowym i religijnym, podobnie jak prawa stworzone przez niego i jego następców – stało się prawzorem Europy. Cesarz August dokonał pierwszego zjednoczenia kontynentu. Za jego panowania opresyjny uprzednio Rzym ofiarował podbitym narodom europejskim, a także niektórym ludom afrykańskim i azjatyckim pokój. Była to słynna *Pax Augusti*. Na straży współistnienia różnych języków, tradycji i obyczajów stał wówczas sprawny system administracyjny, prawny i gospodarczy, z unoszącą się nad wszystkim unifikującą kulturą grecko-rzymską.

W II wieku po Chrystusie znamienity retor Eliusz Arystydes będzie wielbił *Pax Augusti*. W *Pochwale Rzymu* powie, że Imperium Romanum to państwo świata, w którym cała *oikumene* stanowi jeden naród, a

Ziemia jest wspólną matką i ojczyzną wszystkich. Będzie on dowodził, że państwo rzymskie, ukonstytuowane paralelnie do porządku naturalnego, odznacza się ładem moralnym oraz jednością prawną. Szczęśliwi są ci, którzy żyją w granicach imperium i potrafią cieszyć się jego darami.

Do dziś aktualna pozostaje ówczesna doktryna monarchiczna, z jej istotowym przeciwstawieniem władcy idealnego i tyrańcy, rozwijana potem przez kolejnych filozofów. To przecież Platon powie, że demokracji grozi wynaturzenie w tyranie. W samym pojęciu tyranii, której cechami są bezprawie i egoizm, zawarte zostało przecucie rozkładu, jakim zagrożona jest ludzka i państwowa egzystencja. Tyrania jest chorobą: skażeniem duszy oddanej występkom. Tyran traci zdolność rozróżniania dobra i zła. Muszą o tym pamiętać dzisiejsi politycy, sprawujący nad nami rządy.

Czy da się wskazać jakiś przełomowy moment, od którego możemy świadomie mówić o kulturze europejskiej jako o pewnej idei wspólnotowej? Czy ten moment wiązać należy z *Pax Romana*?

Wczesne Cesarstwo Rzymskie, stworzone przez Oktawiana Augusta, rzeczywiście stawiało fundamenty pod wspólnotę, która z czasem zespoliła się swoim znaczeniem z łacińskim chrześcijaństwem, a więc formacją, według której myślimy o Europie od wieków. Ale o przełomowym momencie możemy mówić również pomiędzy IV a początkiem VI wieku, kiedy *Romanitas*, z całą swoją skarbnicą kulturową, przekształciła się w *Christianitas*.

Rozumiem, że takich przełomowych momentów było więcej.

Oczywiście. W październiku 312 roku Konstantyn I, wyznawca Słońca Niezwyciężonego, ma sen. We śnie widzi – jak zaświadcza historyk Kościoła, Rufin z Akwilei – na niebie krzyż jaśniejący ognistym blaskiem i dwóch aniołów mówiących do niego: *in hoc signo vinces* („pod tym znakiem zwyciężysz”). Dzieje się to akurat przed bitwą o Rzym z Waleriuszem Maksencjuszem. Po zwycięstwie Konstantyn I, jako cesarz Zachodu, oraz Waleriusz Licyniusz, jako cesarz Wschodu, pozwalają w 313 roku na oficjalne wyznawanie religii chrześcijańskiej, wprowadzając ją w krąg tradycyjnych kultów cesarstwa.

Za przełom należy uznać też sobór w Nicei w 325 roku. To na nim, w oparciu o greckie pojęcie substancji (*ousia*), sformułowano doktrynę chrystologiczną mówiącą o współsubstancjalności czy współistotności Ojca i Syna (*homoousios*). Na niej oparto z kolei dogmat Trójjedynego Boga, dopełniony na soborze w Konstantynopolu w 381 roku wyznaniem wiary, naszym *Credo*, uznającym Bóstwo Ducha Świętego równe w swej substancji Ojcu i Synowi. Wskutek tej decyzji czas jakby stanął w miejscu: zatrzymał się na IV wieku. Odtąd każdej niedzieli w kościołach Warszawy, Rzymu, Kolonii czy Aten powtarzamy przecież, że wierzymy w jednego Boga i jednego Pana Jezusa Chrystusa, zrodzonego z Ojca przed wszystkimi wiekami, a nie stworzonego, oraz że wierzymy w Ducha Świętego, Pana i Ożywiciela, który od Nich pochodzi.

A rok wcześniej (w 380 roku) w edykcie cesarskim wydanym w Tessalonice, skierowanym do mieszkańców Konstantynopola, urzędujący cesarze proklamowali religię wyznawaną zarówno przez

biskupa Rzymu, Damazego, jak i biskupa Aleksandrii, Piotra. Dogmat Trójcy Świętej stał się fundamentem wiary dla tych, których odtąd będzie się nazywać chrześcijanami katolickimi (w odróżnieniu od heretyków). Z czasem dogmat ten zaczął obowiązywać w całym imperium: świat rzymski stawał się światem chrześcijańskim.

Czy był to proces nieuchronny?

Jakżeż nie miała przeobrazić się postać świata, skoro to właśnie w cesarstwie podczas rządów Oktawiana Augusta pojawił się Jezus Chrystus, a za panowania następców twórcy *Pax Augusti* działali Jego uczniowie i rozwijał się powołany przez Niego Kościół. Co nie oznacza, że symbioza filozofii klasycznej i teologii chrześcijańskiej zakończyła wówczas swój żywot. Wprost przeciwnie: chrześcijanie pełnymi garściami korzystali z tradycji platońskiej i neoplatońskiej, z logiki Arystotelesa oraz z zasad i technik wielkiej retoryki antycznej. Chciałabym tu wspomnieć, po pierwsze, świętego Augustyna, biskupa Hippony, nauczyciela retoryki i miłośnika filozofii Platona, a zwłaszcza Plotyna i Porfiriusza, który w dyskusji z nimi tworzył zachodnią myśl chrześcijańską. Po drugie zaś wielkiego teologa i filozofa, Pseudo-Dionizego Areopagite, który żył na przełomie V i VI wieku i – jak twierdzą niektórzy badacze – zhellenizował chrześcijaństwo.

Pseudo-Dionizy Areopagita to myśliciel, któremu poświęciła Pani wiele uwagi, tłumacząc chociażby jego pisma na język polski.

To postać zupełnie wyjątkowa. Ku mojemu zaskoczeniu profesor Leszek Kołakowski powiedział mi kiedyś, że Pseudo-Dionizy Areopagita powinien zostać uznany przez Kościół za heretyka, albowiem wprowadził do chrześcijańskiej kosmologii, teologii mistycznej, angelologii i eklezjologii neoplatonizm w czystej formie. Notabene neoplatonizm to określenie dziewiętnastowieczne – filozofowie epoki późnej nigdy by tego słowa nie użyli. Uważali po prostu, że uprawiają platonizm w czystej postaci.

Los starej religii antycznej wydawał się już w tym czasie przesądzony...

Nastąpiło jej zdecydowane potępienie. Stosowano nawet karę gardłową za składanie krwawych ofiar. Dawni bogowie przenieśli się w przestworza niebiańskie, zamieszkali na planetach i gwiazdach. W przestrzeni literackiej i artystycznej kontakt z nimi nie został jednak zerwany: bogowie nadal wiodą swe życie w zawsze aktualnej tragedii greckiej, opisującej niezmiennie przypadki losu ludzkiego, czy w ciągle na nowo odczytywanej mitologii antycznej. W sztuce współczesnej obecne są wypracowane wtedy proporcje i grecko-rzymskie kanony sztuki. Świadczą o tym wspaniałe rzeźby Igora Mitoraja, odwołujące się do historycznych, mitycznych i ewangelicznych postaci.

A co do dzieła konsolidacji europejskiej wniósł Karol Wielki?

Karol Wielki już w swoim wieku nazwany został *pater Europae*. Dlaczego? Bo nadał grecko-rzymskiemu pojęciu Europy w odniesieniu do swojego imperium, które objęło znaczną część Cesarstwa Zachodniorzymskiego, w pełni chrześcijańskie znaczenie. I my, włączeni poprzez chrzest Mieszka I do łacińskiej cywilizacji, nadal żyjemy w tej domenie. Jesteśmy dziedzicami antycznej i chrześcijańskiej tradycji. To ona decyduje o naszej tożsamości, bez względu na to, jakimi rewolucyjnymi konceptami jesteśmy obecnie karmieni.

Dodam, że ojciec święty Benedykt XVI, wielki teolog i myśliciel, w listopadzie 2012 roku powołał Papieską Akademię Języka Łacińskiego. Postanowił oto chronić wspólną spuściznę. Pragnął nie tylko kształcić duchownych, ale również promować w edukacji i kulturze łacinę – język ojczysty całej Europy. Na czele akademii postawił świeckiego latynistę, profesora Ivano Dionigi, rektora uniwersytetu w Bolonii.

Leszek Kołakowski twierdził, że chrześcijański kult cierpienia, ośmieszany przez stulecia, zniknął już z oficjalnego nauczania Kościoła. Że rzadko i tylko półgębkiem mówimy o skażeniu natury ludzkiej i o rzeczywistości grzechu pierwotnego.

Niemal cały świat patrzył jednak na ciężko chorego i cierpiącego ojca świętego Jana Pawła II, tulącego do piersi krzyż w Koloseum. I nikt nie może powiedzieć, że krzyż, symbol cierpienia Bogoczłowieka, a jednocześnie symbol miłości Boga do ludzi, zniknął z nauki Kościoła. Myślę, że trudno byłoby znaleźć prawdziwego księdza, które zaprzeczyłyby kerymatowi Krzyża. I od czasu nauczania Chrystusa

misterium Krzyża – z wpisaną weń naszą niedolą, trudem i cierpieniem oraz dążeniem po męce istnienia do zmartwychwstania – stanowi niezmiennie fundament wiary chrześcijańskiej i ciągłego przypominania Dobrej Nowiny.

W polskim Kościele kapłani nie boją się, jak dotąd, mówić o grzechu i o działaniu diabła. I wcale nie wmawiają ludziom, iż ci są na tyle świątli, by samodzielnie oddzielać dobro od zła. Ludzie są grzeszni i powinni się z grzechów oczyszczać. Fundamentalne rozeznanie daje dekalog, a bardzo pomocny jest oczywiście Katechizm Kościoła Katolickiego, stanowiący oficjalną wykładnię doktryny wiary.

Ale ma pan rację odnośnie sytuacji na Zachodzie. To chyba papież Paweł VI, wyniesiony ostatnio na ołtarze, napisał, że zwycięstwem diabła jest to, że przestał istnieć w nauczaniu Kościoła zachodniego.

W swojej *Obecności mitu* Kołakowski pisał, że żyjemy w kulturze analgetyków. Że nie dopuszczamy obecności zła do świadomości i nie stawiamy czoła cierpieniu. Wybieramy samooszukiwanie i samooszałamianie, bez umiaru sięgając po leki i środki zmieniające świadomość. Od napisania książki upłynęło już niemal pięćdziesiąt lat, ale diagnoza filozofa nic nie straciła na aktualności. Jak temu zjawisku zaradzić?

Można sięgnąć po środki terapeutyczne do starożytnych. Już tragedia antyczna uczyła lud ateński poprzez cierpienie (*pathei mathos*) cnoty umiaru. To właśnie *sophrosyne*, powściągliwość, uznana została przez tragików greckich za prawdziwie heroiczną sprawność ludzką. Miała

utrzymywać w wewnętrznej równowadze i harmonii człowieka, skazanego na nieszczęścia w wyniku zrząceń bóstwa i wyroków fatum. Ale również pomagała temu, który cierpi z racji swoich namiętności, występków i zaślepienia, wiodących do katastrofy. Sokrates w miejsce człowieka tragicznego postawił mędrca, zwróconego ku metafizycznej wolności. Mędrzec uwalnia się od decyzji mrocznego fatum przy pomocy wiedzy o tym, co złe i szpetne oraz o tym, co szlachetne i piękne. Wiedza ta jest zapisana w ludzkim wnętrzu ręką boskiej rozumności, a wydobywa się ją w nieustającym trudzie intelektualno-moralnym, kształtując swój charakter poprzez praktykowanie cnót, wśród których właśnie panowanie nad sobą odgrywa wiodącą rolę. Ten sokratejski program samozbawienia, duchowej niezależności jednostki wobec zła istnienia i wyniszczających żądź, dopełniony został przez etykę stoicką, dającą nam egzystencjalne zdrowie. Etyka stoicka mówi, że najlepszym analgetykiem w walce z afektami, nieszczęściami losu i wrogością świata zewnętrznego, jest samowystarczalność wewnętrzna.

Czy tego właśnie uczą nas, ludzi XXI wieku, starożytni stoicy?

Owszem, bowiem praktykowane przez nich cnoty prowadzą do stanu *apatheia*, duchowej niewzruszoności, spokojnego dostosowania się do wyroków losu oraz do wyzbycia się skrajnych emocji – takich jak niskie żądze, strach, smutek i rozpacz. Istnieje ściśle określona gradacja dóbr pożądaných (rozumność, umiarkowanie, sprawiedliwość, dzielność), a ich właściwe wykorzystanie przyczynia się do spokoju duszy.

Odrzucając przez rozum to, co patogenne, wszelki możliwy fałsz wyobrażeń, stoik zyskuje taką obojętność, że mogą się o niego rozbijać fale losu i przeznaczenia. Choćby dotykały go największe nieszczęścia, on im się nie poddaje.

I stosując taką klasyczną autoterapię – jeśli tylko nabędziemy zdolność do przeciwstawienia się współczesnym trendom życia hedonistycznego, wiodącego do chorób duszy i ciała – będziemy mogli powiedzieć sobie za Markiem Aureliuszem: „Podobny bądź do skały, o którą się ciągle fale rozbijają, a ona stoi, a koło niej usypiają bałwany wody”.

Czy nie odnosi Pani jednak wrażenia, że czerpiemy dziś z dziedzictwa antycznego, owszem, ale tylko tak, jak się nam żywnie podoba, traktując przeszłość jako rezerwuar motywów i rekwizytów. W ten sposób kultura antyczna bywa spłykana i wprzęgana w maszynę popkultury. Nasza wizja Termopil, wojny trojańskiej, Cezara i Kleopatry, zmierzchu i upadku Rzymu, Pompejów czy Spartakusa skrojona jest na miarę komiksu.

Tu się z panem nie zgadzam. Bardzo dobrze, że w łonie kultury masowej zadomowiły się postaci i miejsca znane z historii starożytnej. Nawet jeśli przedstawiane są jednostronnie, widowiskowo i trochę płytko, to pozwalają szerokim kręgom odbiorców obcować z fascynującymi osobowościami greckich i rzymskich polityków, cesarzy i herosów wojny. Osobiście bardzo lubię film Olivera Stone’a *Alexander*. Nie ma chyba osoby w Chinach czy na Nowej Gwinei, która by nie słyszała o Aleksandrze Wielkim, jego koniu Bucefale i wspaniałych zwycięstwach młodego geniusza wojny oraz jego Macedończyków nad bajeczną potęgą królów i satrapów perskich. Całe rzesze oglądały komiksowy film *300* i jego *sequel* – *300: Początek imperium*. Oba ukazywały wolnych Hellenów walczących ze wschodnią despotią. Patrząc na Spartan pokonujących armię orientального autokratora, uświadamiamy sobie, jak się rodziła Europa. Z kolei niebywale wystawny *Ben-Hur*, opowiadający o starciu świata pogańskiego z

chrześcijańskim, czy filmy o romansach Kleopatry z Gajuszem Juliuszem Cezarem i Markiem Antoniuszem, albo dobry film Ridleya Scotta *Gladiator*, wprowadzający w czasy Marka Aureliusza i jego zdegenerowanego syna Kommodusa, nawet jeśli trochę odbiegają od realiów epoki, to przecież wzruszają, przyciągają, uczą i popularyzują antyk.

Rozmawiał Paweł Czapczyk